

## Franciszek Piątkowski Kolorowe kręgi piekiel

Staropolskim obyczajem powinienem przyjść do Was i przełamać się opłatkiem mówiąc: „bodaj byśmy na przyszły rok łamali go ze sobą”. Ale po tym, co zobaczyłem i czego się dowiedziałem moja słowa byłyby bezradnie banalne i sztuczne. Dlatego przychodzę do Was i prawdą o śmierci, która wzięła na siebie nową postać i nowe, ponętne szaty. Maro do tego prawo, bo oglądałem jej ślady i wiem, że prowadzą one także do Was, do Waszych dzieci i do Waszych domów.

Daleki jestem od tego, by Was straszyć i zadziwiać. Obce mi są także reporterskie ekscytacje ludzkim nieszczęściem, chorobą lub śmiercią. Celem moim jest co innego: chcę Wam zabrać trochę czasu i trochę spokoju. Chcę Wam zepsuć święta.

### Krąg śmierci

To był dobry adres.

W bok od jednej z głównych ulic Lublina, jakieś pięćset metrów do domu z ogródkiem za drucianą siatką. Miałem tam rozmawiać ze Sławkiem, który ostatnio poszedł już na całość. Co brał? Najpierw — jak przypomina sobie Andrzej Wątroba, który znał go ze szkoły — Sławek brał różne świństwa, ale przede wszystkim klej. To znaczy: wachał. Potem i do teraz szedł na makiwarze, o czym wie dobrze Albin Józwiak, bo rozmawiał z nim nie dalej jak trzy tygodnia temu. Co z makiwary — nie wiadomo. Może była to bera, może kompot, może szambo. W każdym bądź razie były to środki uzyskiwane z maku, które medycyna określa zbiorczo terminem „opiaty”, a o których oni — narkomani — mówią egzotycznie i muzycznie „makiwara”. Te środki są mocne, twarde i zachłanne. Powierzone ich wpływom ciało i oddana im w zastaw psychika, domagają się ofiar ciągłych i coraz obfitszych. Osławiony haszysz, czy pociągająca samą nazwą siostrzana marihuana, to przy opłatach małe nic.

Skąd Sławek miał mak? Na pewno z działek, bo posiadacze warzywników pamiętają, że gonili go, ale on kradł i wyrządzał szkody dla swojej pani: dla hery, polskie heroiny. Wiedział tak samo dobrze jak inni jej słudzy, że ona jest właśnie w maku i trzeba tylko umieć ją stamtąd wyprowadzić. Jak? Oni wiedzą jak. Znają technikę i technologię produkcji, wiedzą co dodać i z czym wymieszać. Wiedzą z jakiej makowej główki popłynie najmocniejsze, mleczo, odróżnią je po zapachu i kolorze. Ósmym zmysłem utrafią w najodpowiedniejszą porę dnia i roku, wewnętrznym barometrem wybiorą najodpowiedniejszą pogodę. Wiedzą gdzie jest mak i wiedzą kto sprzeda słomę. Wiedzą talk dużo, bo cel swojego życia trzeba znać dokładnie, a ich jedynym celem jest makiwara. I doprawdy: śmieszne są te spory czy w polskiej, chałupniczo produkowanej heroinie jest heroina czy jej nie ma. Grunt, że daje kopa.

Przez ile lat Sławek dążył do celu? Można policzyć. Jeżeli zaczął wachać w wieku lat kilkunastu, a od siedmiu — sześciu szedł na mak twarze to można przyjąć, że zbierało się tych lat z dziesięć.

Klepsydra zawieszona na drucianej siatce ogrodzenia informuje, że umarł przeżywszy lat dwadzieścia sześć i że odbędzie się pogrzeb. Starszy sierżant sztabowy Albin Józwiak, mój przewodnik po pierwszym kręgu piekła pyta, czy dokładnie przeczytałem co tam pisze. Tak, dokładnie. Nic o przyczynie zgonu? Nic. Może przedawkowali, może chciał przedawkować, może chciał skończyć, a może nie wytrzymało serce z chorą zastawką. A czy jest może czy nagle, albo jak długo... Nie, też nic i widzę tylko jak wychodzi pan z samochodu, jak dochodzi pan do ogrodzenia i natychmiast zawraca jakby odrzucony biegunem potężnego magnesu.

### **Krąg niewiedzy**

Ilu ich jest. Nikt nie wie.

W 1972 r. docent Cz. Czapów szacował, że narkomanów w Polsce jest 60,000. W 1981 operowano nawet cyfrą 500.000. Pół miliona? Za dużo. Niech więc będzie, że dwieście tysięcy, bo w tej grze można jak dotychczas obstawiać dowolne wielkości. Co do Lublina to padają różne: tysiące, półtora, dwa.

„Z uwagi na brak odnowie drach badań trudno jest określić rzeczywiste rozmiary rozpowszechniania, nadużywania i uzależnienia od leków i innych środków uzależniających. Jedynymi, jak dotychczas źródłami informacji o tym zjawisku są statystyki służby zdrowia, MO, resortu oświaty oraz wycinkowe badania socjologiczne”. Tak rozpoczyna się informacja opracowana przez Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej w Lublinie, a przygotowana z okazji I sympozjum naukowego, jakie odbyło się w dniach 27-28 kwietnia br. w Puławach. Temat sympozjum brzmiał: „Zapobieganie, leczenie i socjalizacja uzależnień toksycznych u dzieci i młodzieży”. Na to samo sympozjum przygotowany został materiał pt. „Uzależnienie toksyczne w aspekcie działalności organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości”, który w pierwszych słowach oznajmia, że „nadużywanie środków odurzających, określane potocznie narkomanią staje się coraz groźniejszym zjawiskiem społecznym. Zarówno w Polsce, jak i na całym świecie, narkomanie cechuje tendencja rozwojowa. Równocześnie pozostaje ona ciągle jeszcze niedostatecznie rozeznana..” I tak dalej.

W „Kierunkach”, tygodniku społeczno-kulturalnym katolików numer 9/1339 Jan Lewandowski zapisał: „Na początku 1981 r. opublikowałem w „Kierunkach” artykuł, gdzie stwierdziłem, że problem narkomanii w Polsce wysuwa się na czoło niebezpiecznych zjawisk społecznych, że narkomania będzie dla następnych pokoleń Ca być może — już dla pokolenia współczesnego) daleko bardziej groźnym i złożonym zagadnieniem niż alkoholizm”. I dalej: „Fachowcy i dziennikarze byli zgodni w jednym punkcie: nikt — poważnie — nie zajmuje się zwalczaniem narkomanii, poza milicją, i nikt poza nią nie posiada solidnego rozeznania w liczbach (...) Pozostaną przy źródłach absolutnie niepełnych, ale za to absolutnie pewnych... — przy statystyce Biura Kryminalnego KG MO (...) W ewidencji MO za 1980 r. figurowało ogółem 8.385 narkomanów. W tejże ewidencji za 1981 r. znajdowały się 10.132 osoby, czyli a prawie dwa tysiące więcej. Statystyka zgonów wywołanych zatruciem narkotykami wygląda według milicji następująco:

rok 1970 — 19

rok 1980 — 33

rok 1981 — 80

W ogromnej większości mieliśmy do czynienia ze zgonami ludzi młodych, nie mających więcej niż 30 lat".

Nie bójmy się brutalnej prawdy.

Baliśmy się jej za długo, W „Polityce” numer 39/1332 jest wypowiedź Ireny Marciniak, wicedyrektora departamentu w Ministerstwie Zdrowia i Opieki Społecznej w sprawie stanu polskiej psychiatrii. Czytamy tam: „gdyby wcześniej można było głośno mówić o jej skandalicznym stanie, potrzebach, alkoholizmie, narkomanii — bylibyśmy spokojniejsi o naszych chorych, na dziś musimy zaczynać prawie od podstaw”.

A więc: ilu ich jest? Jaką przyjąć podstawę?

Statystyki milicyjne odnotowują tych, którzy weszli w kolizję z prawem. To może być włamanie do apteki, sfalszowanie recepty, sprzedaż odurzającego preparatu, używanie środka odurzającego w obecności innej osoby. Włamanie czy sfalszowaną receptę można wykryć dość łatwo. Obrót środkami odurzającymi — o wiele trudniej. Narkotyzowanie się w obecności innych tak samo, bo przecież oni robią to w swoim gronie, w konspiracji, albo w samotności.

Statystyki służby zdrowia odnotowują tych, którzy leczą się w szpitalach psychiatrycznych i w przychodniach zdrowia psychicznego, ale większość narkomanów nie leczy się i nie chce się leczyć. Bywa, że dowożeni na oddziały ostrych zatruć w szpitalach podają po odzyskaniu przytomności inne przyczyny, niż te, które rzeczywiście doprowadziły ich na krawędź śmierci.

Statystyki pionu oświaty mówią o tych, którzy sięgają po środki toksyczne „na próbę” i o tych, którzy robią to systematycznie. Sytuacja w Warszawie to więcej już niż stan alarmowy; sytuacja w Lublinie, Puławach, Dęblinie domaga się nie tyle wszczynania alarmu, bo ten ogłoszono, ale nieustawania w wysiłkach nawet na chwilę. Jakie są rozmiary zagrożenia? W 1981 roku zarejestrowano — jak poinformował mnie Stanisław Łopuszyński, wizytator Kuratorium Oświaty i Wychowania — 319 przypadków odurzenia. Jest to o 30 procent więcej niż w roku 1980. Trzeba podkreślić słowo „zarejestrowano”, bo przecież nie można, nie uda się, nie jest możliwe zarejestrowanie wszystkich. Trzeba wyłować, przyłapać, rozpoznać. Żaden początkujący épacz nie przyjdzie przecież do wychowawcy, albo do szkolnego lekarza i nie powie: oto jestem. Biorę klej, pastę, prochy, makiwarę...

Tak samo do sierżanta Jóźwiaka nie przyjdzie nikt dobrowolnie i nie powie: proszę mnie wpisać pod numer 141, bo chcę panu powiększyć statystykę uzależnionych przestępców w mieście Lublinie.

Jest nadzieja, że może zacząć przychodzić do doktor Elżbiety Spólnickiej z Poradni Uzależnień Lekowych przy ul. Buczka 4, żeby się leczyć. Przychodnia rozpoczęła działalność tydzień temu, a jej kapitał zakładowy w dniu otwarcia składał się z lekarza, trzech psychologów, pielęgniarki i nadziei właśnie. Że tu zobaczą dla siebie szansę.

### **Krąg bezradności**

Siedzimy sobie na wierzchołku lodowej góry i rozmawiamy. On, Krzysztof, ujawniony narkoman, bo fałszował recepty i ja, reporter, ciekaw jego zagadek. Mój czwarty przypadek — jak to zgrabnie określa medycyna. Oko w oko z przedstawicielem świata dziwnych, innych i jakby obcych ludzi.

Pierwszy raz to był wybitny artysta, któremu wojna zrujnowała zdrowie. Po wojnie reperowali mu płuca, a ból wygaszali odpowiednimi środkami. No i stało się: on uzależnił się od „tego świństwa”, a od niego — omotany misterną siatką prośby i groźby — uzależnił siłę aptekarz. Wskoczył, jak mi opowiadał, na chwilę przed ostateczną katastrofą, a stało się to możliwe dzięki aptekarzowi, który opuścił miasto.

Mój drugi przypadek to spotkanie z hippisami w amsterdamskim parku miejskim. Były ich tam setki. Ruch hippie kończył właśnie swój tryumfalny pochód od Stanów Zjednoczonych przez zachodnią Europę i łagodnie lądował w tolerancyjnej, holenderskiej przystani. Uderzyło mnie, że tamci byli bardziej kolorowi od ich braci spotykanych w Polsce. I starannie wymyć.

Trzeci przypadek, sprzed czterech miesięcy, to spotkanie w Zaczarlanach w ośrodku MONAR o kilkanaście kilometrów od Białegostoku. Przy wspólnej kolacji spytałem kto jest z Lublina. Był Edward. Czy możesz mi powiedzieć, dopytywałem, jak tam jest, w tym mieście?

— Nie tak źle jak w Gdańsku, czy we Wrocławiu, lepiej jak w Warszawie, ale gorzej niż się wydaje. Jak wrócisz, to jedź na LSM albo na ZOR. Możesz szukać też w okolicach Kunickiego. Tyle ci powiem i nic więcej, ale pamiętaj: jest gorzej, niż się wszystkim wydaje.

O tym, co jest pod wierzchołkiem lodowej góry widocznym na powierzchni, o tym „gorzej” zatopionym w morzu zabieganego, zajętego swoimi sprawami miasta — nie dowiem się u Krzysztofa niczego. Ale o nim — dużo. Kiedyś malował. Na dowód dwa obrazy na ścianach: powściągliwy w starannie dysponowanym kolorze pejzaż i przetworzony w duchu nowej figuracji akt. Też dobry. Na dowód uzdolnień muzycznych — gitara. Odpoczywa, już dość długo, pod regałem. W regale dużo książek. Prawie bez wyjątku dobra i bardzo dobra literatura. Pod ścianą dowód rzeczowy zaświadczyający o dążeniu do stabilizacji wymyślonej przez ludzi „normalnych”: reszta skóry, z której Krzysztof robił galanterie. Sierżant Jóźwiak mówi, że bardzo ładną i zostawia nas samych.

— Czy maluję? Nie, jut teraz nie. Rozbity jestem, tak jakoś.

— Kiedy zacząłem? W liceum różne sprawy mnie zajmowały. Interesowała mnie sztuka i myślałem... Tak, pod koniec liceum, ale to nic konkretnego, takie próby.

— Od czego się zaczęło? Chodziłem do Zamoyskiego tam było dużo synów lekarzy i można było załatwić, jak ktoś chciał. Chyba od morfiny... Potem wyjechałem do Wrocławia i tam zetknąłem się z makiem. Nie, żadna ucieczka. U brata, bo brat też...

— Czy można z tego wyskoczyć? Można, ciągle można. Jeżeli chodzi o uzależnienie fizyczne to to jest proste i trwa niedługo. U mnie jakieś dwa tygodnie z objawami typowymi dla okresu abstynencyjnego.

— Jakie to objawy? Wymienić? No, brak snu... Bóle, cholerne bóle kończyn. Rąk, nóg, potworny ból okolic kręgosłupa, głowy. Pocienie się... Bezsensowność bardzo długo się ciągnie. Nawet po zażyciu tabletek godzina, dwie w nocy i to wszystko... Dreszcze...

Drżenie nóg, rąk... Posiłków w ogóle nie można przyjmować, bo natychmiast wylatują jedną, albo druga stroną...

— Czy się leczyłem? Tak, byłem w Abramowicach przez miesiąc, ale szpital to nie jest dobra rzecz... Trzeba by tworzyć oddziały odtruwające, specjalne... A później, koniecznie, po odtruciu, znaleźć warunki do dalszego leczenia, bo samo odtrucie to... To jest nic, to nic nie daje takie leczenie jak u nas istnieje. Najgorsze jest to, że po odtruciu człowiek musi wrócić do środowiska, z którego wyszedł. Niech mi pan powie jak ma wytrzymać. Przecież brał przez lata, a brał wśród swoich, wytworzył sobie swój społeczny świat. Z innymi zerwał, bo nie byli mu potrzebni. I co: teraz wraca, jest przecież z definicji istotą stadną, idzie do innych, tych samych...

Ach, Boże! - piekielny krąg.

— Ja byłem w MONARZE przez parę dni, w Głoskowie. Ale nie wytrzymałem. Nie ja jeden. Leczenie zaczyna się tam od krzyku, że jest się zerem, szmatą, że przez tyle lat było się szmata. Tak jest... Jest się zerem i szmatą...

— Wie pan Zbyszek Thille zorganizował w Lubiążu, pod Wrocławiem, taki oddział. To by mi chyba odpowiadało. Może Caryńskie, to w Bieszczadach... Tam się leczą pracą. Do Zbyszka podobno można było przyjść przyćpanym i on rozmawiał. W końcu człowiek sam się krępował.

— Co jest po przy ćpaniu? Gdyby pan mnie zapytał kilka lat temu może powiedziałbym coś fajnego. Teraz już zapomniałem, nie pamiętam... A zresztą to bardzo trudno przetłumaczyć komuś, kto nie brał. Tak czy inaczej to żadne kolorowe sny, chyba że po halucynogennych. Próbowałem LSD, tak było. Teraz biorę to związane z makiem. Początkowo to tak: inaczej odbierało się świat i siebie w rzeczywistości, a teraz... Inaczej odbierało się barwy, dźwięki, zapachy. Ja chyba nie potrafię tego wytłumaczyć. Kiedy przestaje się brać to umysł ożywa, po zażyciu jest zatruty.

— W życiu miałem bardzo dobrze. Ale jestem nieprzystosowany. I chyba dlatego. Ostatnio to praktycznie brałem codziennie, chociaż znowu wychodzę. Jest taki pan, który mi pomaga. On pomaga ludziom biorącym w różny sposób i ja wierze, że wyjdę.

— Czy łatwo jest zdobyć narkotyk? Jeszcze za łatwo. Można zawsze wyjechać za miasto i kupić sobie słomy makowej,

— Czy z tego w ogóle można wyjść? Na pewno można! Chociaż czasem sam wątpię, nie wiem... A wie pan? W Warszawie. Gdańsku, Wrocławiu biorą inaczej, doprowadzają się do nieprzytomności. W Lublinie jakby mniej, łagodniej.. Chociaż ja bliżej nie wiem. Ja jestem sam, ciągle sam. Mnie odrzucają te ciągłe rozmowy o ćpaniu, ten przymus ciągłego gadania na ten temat.

— Czy boję się śmierci? Nie. W tym rzecz, że wcale się nie boje. I to nie dlatego. że biorę. To było u mnie wcześniej. To zwierzęce przywiązanie do życia... Nie, nie. Chciałbym tylko ocalić własne „ja”, nie zgubić się. Rodziców kocham.

Na zakończenie tej rozmowy-monologu, w którym starałem się być obecny jak najoszczędniej — otrzymuje od Krzysztofa dwa numery wrocławskiego pisma pod tytułem „Dokąd idziesz”. Na stronie tytułowej informacja, że „pismo wychodzi przy Społecznym Komitecie Przeciwdziałania Narkomanii”. W pierwszym numerze, przy redakcyjnym wstępie cytat z Gustawa Junga: „ludzie gotowi są na wszystko, bez względu na absurdalność postępowania, aby uniknąć konfrontacji z własną psychę”.

W korytarzu, przy pożegnaniu ciche słowa matki:

— Proszę pana...

Tak, wiem, proszę pani: zmienić imię, pominąć nazwisko, pominąć adres. Tak, znam już te prośby: przed czterema godzinami podobnie kończyła się rozmowa z rodzicami.

### **Krąg domysłów**

W latach 1971—1976 działał oddział leczenia toksykomanów przy Wojewódzkim Szpitalu dla Nerwowo i Psychiczenie Chorych w Lubiążu pod Wrocławiem. W 1974 r. powstał oddział leczenia toksykomanów w Garwolinie pod Warszawa. W 1975 r. powstał Ośrodek Resocjalizacji Praca Młodzieży Nieprzystosowanej (obecnie Spółka Caryńskie) w Bieszczadach. W 1979 r. powstał Ośrodek Rehabilitacji Młodzieży w Głoskowie (MONAR) pod Garwolinem. W 1982 r. rozpoczął pracę „monarowski” ośrodek w Zaczerlanach pod Białymstokiem. 15 grudnia 1982 r. rozpoczęła działalność poradnia w Lublinie.

Wymieniam te placówki i przedsięwzięcia, które znam z relacji i lektur, albo z autopsji. Różne są metody leczenia, różne możliwości. W Zaczerlanach narkomani uprawiają kartofle i pomidory w ogromnym tunelu pod folią. Hodują świny, gęsi, kaczki, kury, króliki i psa. Wynajmują się do roboty w polu u miejscowych rolników. Remontują oddany im do dyspozycji budynek po szkole, tysiąclatce. Wieś, która bała się narkomańskiej zarazy, bo ta miała przynieść gwałt i morderstwa — płaci uczciwie za solidną pracę: parą prosiąt, kurą, gęsią. Przy braku rąk do pracy — dobre i ręce narkomanów, chociaż szybko okazało się, że są to solidne ręce. Jak jest teraz w Zaczerlanach — nie wiem. Wiem tylko, że w ośrodkach młodzieżowego ruchu na rzecz przeciwdziałania narkomanii, w ośrodkach MONARU obowiązuje żelazny wprost reżim i zasada: przyćpasz — za bramę i na zawsze. To u wielu budzi sprzeciw. Ale dla wielu jest to zasada warunkująca wyleczenie.

Właśnie: czy z narkomanii można się wyleczyć?

Teoretycznie wiemy na ten temat sporo, praktycznie — mało.

Te trzy czy cztery przedsięwzięcia zrealizowane w latach siedemdziesiątych to jest nic. Nic wobec 60 tysięcy uzależnionych do roku 1972. Jeszcze większe nic wobec lawinowo narastającego problemu po odkryciu przez narkomanów maku, co stało się gdzieś w roku 1974—1975. Ale przecież jest nie tylko mak. Są uzależnieni od środków chemicznych, od leków i od narkotyków. Są toksykomani, lekomani i narkomani. Niektóre środki wprowadza się do organizmu przez oddychanie, inne się pije, albo połyka, jeszcze inne wprowadza się do żył. W zależności od dawki, rodzaju środka i częstotliwości ćpania — zmienia się organizm. Stopniowo wysiada wątroba, nerki, trzustka, serce i mózg. Mózg, to centrala rozdzielcza i podłączony do niej system nerwowy przed wszystkim.

Założenia programowo-organizacyjne puławskiego sympozjum rejestrują skutki w sześciu punktach. Po pierwsze: środki toksyczne wpływają ujemnie na sferę intelektualną, życie uczuciowe i biologiczne człowieka. Po drugie: są przyczyny różnych chorób somatycznych. Po trzecie: skracają wiek życia człowieka. Po czwarte: odbijają się

ujemnie na potomstwie. Po piąte: wpływała destrukcyjnie na młodzież, na jej wykolejenie obyczajowo-przestępcze. Po szóste: zwiększają liczbę osób małowartościowych, mało produktywnych i będących ciężarem dla społeczeństwa.

Zbigniew Thielle we wspomnianym tu już piśmie „Dokąd idziesz” pisze m.in.: „Przy ograniczaniu zarówno nielegalnej, jak i „legalnej” podaży środków psychoaktywnych trzeba baczyć, by nie doprowadzić do sytuacji, w której konsument sięga do bardzo toksycznych i szkodliwych dla zdrowia przetworów „domowego wyrobu”, ponieważ nie dysponuje możliwością uzyskania „czystych” preparatów fabrycznych, a jednocześnie nie potrafi wyrzec się odurzenia”. Fragment wyrwany z kontekstu, z obszernej rozprawy pt. „Ogólne założenia profilaktyki uzależnień od środków psychoaktywnych” może sugerować, że Z. Thielle jest za liberalizacją przepisów dotyczących „legalnego” obrotu „czystymi” preparatami. Nie, nic podobnego: on tylko się zastanawia, jaka z dróg może być najlepsza w profilaktyce i wskazuje na groźbę tkwiącą właśnie w makiwarze: w herze, kompocie i szambie. One są mocne i brudne. Śmierć może być również dobrze następstwem przedawkowania, jak i zatoru, infekcji czy wyniszczenia organizmu.

Doktor Elżbieta Spólnicka i psycholog Ewa Mielnik tłumaczą mi w lubelskiej Poradni Leczenia Uzależnień Lekowych na czym polega zjawisko tolerancji. Alkoholik, żeby się upić potrzebuje, w miarę rozwoju choroby, coraz mniejszych dawek; narkoman, żeby osiągnąć pożądany efekt musi brać coraz więcej. Gdzie jest granica tego więcej?

Teoretycznie wiemy na ten temat sporo, praktycznie — mało. Bo skoro twarde, mocne, brudne i zachłanne chałupnicze opiaty pojawiły się w Polsce lat temu siedem, to z całym przerażeniem trzeba postawić pytanie: ile lat trzeba na krańcowe wyniszczenie organizmu albo ruinę osobowości i rygorów utrzymujących psychikę w jakiej takiej równowadze? Dlaczego narkomani umierają zwykle przed trzydziestką? Boję się odpowiedzi na te pytania. Boję się pospiesznie formułowanych hipotez. Boję się, że straciliśmy ten czas, jaki upłynął od pojawienia się na początku lat siedemdziesiątych zjawiska toksynomanii i ten, jaki upłynął od odkrycia maku. W tych latach — jak pamiętamy — nie było u nas ani narkomanów, ani prostytutek, ani alkoholizmu wśród młodzieży. W teorii oczywiście, a nie w praktyce.

Alarm trwa od dwóch lat. Dzisiaj chciałem Warn powiedzieć dlaczego.

Pierwodruk: „Sztandar Ludu”, 24,25,26 XII 1982 r., s. 3